Nr 5. Lwów w maju 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

JEŁEŃ.

Napisał
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

[Jeleń kopalny w starożytności. — Dawna literatura przyrodnicza o jeleniu. — Jeleń w mytologii i w legendzie].

Kopalne resztki jelenia (cervus elaphus) zdają się wskazywać, że zwierz ten pojawił się tłumnie na ziemiach środkowo-europejskich dopiero wtedy, gdy wielkie te pasma krajów po zmiennych przejściach poprzednich okresów, skryły się przeważnie w cieniach leśnych puszczy u schyłku epoki dyluwialnej. Gdy na dawnych stepach zaciągało się coraz szerzej i dalej państwo olbrzymiej wegetacyi, wpływało to stanowczo na zmianę fauny. Zanikał do reszty świat stepów — wyniosły się lub zaginęły chyże stada jego mieszkańców, a cieniem lasów po ziemi przesyconej wilgocią, postępowały gatunki innych zwierząt, którym największej taki stan przyrody kraju odpowiadał. Wśród innych gromadnie w tej chwili zapełnia jeleń lasy europejskie, przypominając słowa Chateaubrianda zwrócone do ludzkości: „Gdzie las, tam ojczyzna, lasy poprzedzają narody, pustynie zjawiają się po nich".

Jednakowoż zanim ta odmiana jelenia stała się zwierzem pospolitym, przebiegało te pasma ziem wiele innych odmian i gatunków wśród zmiennych warunków kosmicznych epoki dyluwialnej, a protoplaści tego rodu sięgają swem pochodzeniem głęboko w epokę trzeciorzędną. Pominąwszy formy przejściowe, do najdawniejszych należy gatunek Palaeomeryx, w którym się już wyraźnie wyłoniły kształty charakterystyczne jeleni. Zwierz ten podobnie jak dziś żyjący malajski Muntjak, nosił tylko widlaste wieńce.

Po tym najstarszym reprezentancie rodu, występują w pliocenie młodszym odmiany ogromne, prześcigające ciałem i rozmiarami wieńców, największe po dziś

dzień istniejące, bo nawet amerykańskiego Wapiti, który również w późniejszych czasach dyluwialnych przebywać miał na ziemiach środkowej Europy.

Pominąwszy jelenia olbrzymiego (Megaceros), któremu osobny poświęciłem rozdział mej pracy, przebywały współcześnie z jeleniem właściwym liczne odmiany przeróżnych jeleni, których cechy nie dadzą się dostatecznie określić z kopalnych resztek, jakie w rozmaitych stronach ziem środkowej Europy znaleziono. Fragmenty szkieletów, z jakimi po największej części ma się do czynienia, wskazują na istnienie odmian, jednak brak całości nie dozwala i najżywszej imaginacyi wytworzyć sobie obrazu tych wielu zaginionych form. W samym Forest Bed (tzw. warstwie leśnej) w Anglii odkryto mnóstwo odmian zwierząt jeleniowatych. E. T. Newton wylicza 14, wśród których żył również i cervus elaphus w okresach przedlodowcowych, jako współcześnik mamutów (Nehring Quaternär Fauna Zeitsch. der geol. Gesellsch. XXXII 504), jakkolwiek kości jeleni wydobyte gdzieindziej z grot, gdzie się pospołu z resztkami mamuta znajdowały, należą po wielkiej części do odmian geologicznych, a nie do dziś istniejącej odmiany jeleni. W r. 1878 w takiej grocie w Donaueschingen w Badeńskiem odnaleziono całkowity szkielet ogromnego jelenia, o wieńcach olbrzymich, którego uznano za odmianę geologiczna, zwąc go cervus elaphus muscosus.

Resztki jelenia tej epoki nie znajdują się jednak wszędzie w jednakowej mierze i podczas, gdy w pewnych okolicach spotykają się częściej, jednak nigdzie obficie, w innych brak ich zupełny, co wskazuje, że zwierzostan ten albo nie był podówczas jednako rozpowszechniony, albo znów, że resztki i wyroby z kości i wieńców jelenich znajdują się częściej w okolicach, zamieszkanych już podówczas przez człowieka, który po grotach i innych przytuliskach przedmioty te nagromadził. W t. z. grocie mamutowej pod Krakowem obok bardzo wielu artefaktów z rosoch łosia i rena, nie znaleziono resztek jelenia (A. Cohn und dr. Metzeis Materialen zur Vorgeschichte des Menschen im östl. Europa), w słynnych zaś grotach koło Berna i Ołomuńca wydobyto znów mnóstwo kości jelenia, a przytem także gruby, walcowaty, 25 cm. długi, a 7 cm. gruby przyrząd z uszkiem z zęba mamuta, prawdopodobnie jakiś rodzaj arkana do chwytania płochej zwierzyny. Delegaci akademii umiejętności w Krakowie znaleźli w Leśniowie w majętności Czerna rogi jelenie obok kości mamutów i niedźwiedzi jaskiniowych, a badania 22 grot w pasmie krzeszowickiem, wykazały wszędzie wielką ilość narzędzi: iglic, szydeł, młotów z rogu jeleniego, co nadaje tym grotom charakter o wiele późniejszy, podczas gdy w pasmie wzgórz kościuszkowskich wykopaliska należą więcej do epoki dyluwialnej, jednak i tu pomiędzy mamutem, nosorożcem, jaskiniowcem, koniem i hyeną znaleziono resztki jelenia, odmiany nie dającej się bliżej określić. (Sprawozdanie p. G. Ossowskiego Akad. nauk 25. list. 1879).

W okresie neolitycznym, do którego odnoszą się wykopaliska groty w Okopach — jeleń musiał być zwierzem bardzo pospolitym w pasmie ziem naszych, bo w tym okresie kulturnym resztki jego lub wyroby z jego kości i wieńców należą do częstszych wykopalisk. Niemniej częstym, a nawet powiedzieć można, zwykłym jest kopalny jeleń w całem pasmie środkowej Europy w epoce mieszkań nawodnych w t. z. warstwach kulturnych, występując coraz to obficiej w warstwach, należących do młodszego okresu palafitów, w którym zwolna metal, przeważnie bronz, zastępował i rugował broń kamienną. Snać grot bronzowy obok innych sposobów ówczesnego łowcy, strasznie musiał gospodarować w zwierzostanach jeleni; w sadybach tych ludzi wytworzyły się z czasem pokłady z kości jelenia i bydląt rogatych, dwa te bowiem gatunki zwierząt stanowiły główną treść pożywienia.

Taki stan rzeczy znaleziono w palafitach na zachodzie, a podobne wykopaliska charakteryzują współczesną warstwę kulturną na wschodzie, zatem i w granicach obecnych ziem naszych.

O wiele jednak przedtem, zanim prawdopodobnie nowa fala narodów palafitowych, obeznanych z chowem zwierząt domowych i z jaką taką uprawą roli, przelała się po ziemiach środkowej Europy, jeleń wraz z dzikiem należał do głównych i najobficiej występujących zwierzostanów leśnych puszczy, gdzie od wieków już rozbrzmiewały rogi neolitycznych barbarzyńców, dla których jeleń w całej swej postaci szczególnie pożądaną przedstawiać miał zdobycz. Oprócz bowiem obfitego mięsa, dostarczały wieńce znakomitego materyału do sporządzania broni, narzędzi, a wreszcie stanowiły i trofea i przedmiot kultu, w którym myśl tych najpierwotniejszych panteistów błyskała już przeczuciem istnienia wyższych potęg.

Stosownie do wymagań czasu, użytek praktyczny z rogu jeleniego zmieniał się w rozmaitym kierunku. W stanie pierwotnego barbarzyństwa potężny róg służył bądź na oprawę silną krzemienia, bądź sam przez się przedstawiał rodzaj morderczej pałki, nie dającej się żadnym innym materyałem zastąpić. W późniejszych epokach kulturnych róg służył za rodzaj radła do uprawy ziemi, a oprócz tego wyrabiano z niego rodzaj siekier i siekieromłotów, których staranna politura, a tępe ostrze charakteryzuje bardziej jako przedmioty ornamentalne, jak przyrządy, mające służyć ku realnemu użytkowi.

Szczególnie siekiery takie z rogu, jak to zauważył Virchow (Verhandlungen der Berliner Gesellsch. für Antropol. 1896 p. 154), znajdują się często w palafitach ziem, niegdyś przez Słowian zamieszkałych i w grodziskach dawnych Wendów.

Niezrównanym materyałem był również róg do wyrobu mnóstwa drobnych narzędzi i przyborów niezbędnych w pieluchowym przemyśle tych dawnych epok. To też masami widzieć można po muzeach igły, iglice do wiązania sieci rybnych i zwierzęcych, harpuny, wędki, groty do włóczni, grzebienie, a wreszcie rodzaj łopatki do wygładzania i ornamentowania wyrobów keramicznych.

* * *

Na gruncie narodów klasycznych występuje jeleń już w najdawniejszych pomnikach piśmiennych, tak w poezyi, jakoteż w dziełach myśliwskich. Jeleniołowiec Iliady otwiera długi korowód myśliwstwa starogreckiego, a najstarsze dzieło Xenophonta o myśliwstwie greckiem z r. 360 przed Chr opisuje obok innych z wielkiem znawstwem łowy jelenie. Gorąca fantazya grecka wplatając wszystko co piękne i wspaniałe w dzieło swego ducha umieściła i jelenia i łanie w pieśniach największych swych mistrzów, a bogini łowów nie dała się pomyśleć bez tego atrybutu. Na wspaniałym rydwanie, ciągnionym przez 4 jelenie o złotych wieńcach pomyka Artemis Phöbe przez urocze gaje Arkadyi, skroń jej wieńczy ziele dyptamu, brzęczą groty w jej złotym kołczanie, w najgłębsze tajniki natury świeci blask jej dyademu i prowadzi za sobą wesoły orszak łowiecki ku pewnej zdobyczy. Wreszcie po szalonej gonitwie za płochym zwierzem nadchodzi chwila wytchnienia, zamilka hałaśliwa

muzyka łowów, teraz brzęczy lutnia i śpiewnych Oread gromady nucą swą wdzięczną pieśń echom lasów, wabiąc do współudziału nawet najpoważniejsze mieszkanki Olimpu.

Pierwsze opisy przyrodnicze jelenia, powtarzane w nieskończoność i kompilowane aż do znudzenia znajdujemy w Aristotelesa historyi zwierząt (Libr. II. cap. 1. Lib. IX. cap. 9). Jak wszędzie w dziełach starożytnych o przyrodzie tak i u tego pisarza, wśród spostrzeżeń realnych mięszają się i wierutne bajki. W szczególności proces powstawania i zrzucania wieńców jest tam bardzo dokładnie i prawdziwie określony. Aristoteles wiedział już o pewnym robaku w głowie jelenia, pod którym niezawodnie poczwarki gzika jamy nosowej (Cephalonomija vel Oestrus nasalis) rozumieć należy. Wierzy on, że jeleń wiedząc o wielkiej leczniczej skuteczności zrzuconego l e w e g o rogu, chowa ten skarb przed ludźmi, tak, że go dotąd n i k t j e s z c z e n i e z n a l a z ł, opowiada o pewnym gatunku jelenia, którego „Achaines nazywa z wieńcem, w który wrósł korzeniem powój, a wreszcie wie, że gdy jelenia ukąsi „phalangion“, to leczy się zjadaniem raków.

Pliniusz (natur. hist. Libr. VIII i XXXII) powtarza podania Aristotelesa, nie wierzy jednak w niemożliwość znalezienia lewego rogu, wątpi w wyłączną skuteczność tegoż, przeciwnie jest przekonania, że którykolwiek róg jest bardzo skutecznym przeciw padaczce. Do końca drugiego wieku n. e. nie wiedzą nic przyrodnicy o łaniach z wieńcami, wysławianych tak często przez poetów, dopiero sofista Adiamus (w dziele: Peri zoon idiotetos libr. VI. cap. 2. wydanym następnie 20 razy) opierając się znów li tylko na utworach poetycznych Greków, utrzymuje, że w samej rzeczy znachodzą się takie „hic mulieres“ w naturze.

Jednak sofisterya autora i widoczna tendencyjność obalają i u łatwowiernych wszelkie do takich twierdzeń zaufanie, wszak autor opiera się nie na spostrzeżeniu, ale na ustępach Sofoklesa w „Aleuadach“, Eurypidesa „Iphigenii“, „Temenidach“ i Anakreonta erotycznych zwrotkach i dziwić się należy, że starożytność mając tyle do czynienia z jeleniem, nie posiadała już o istnieniu tego fenomenu natury jakiejś realnej wiedzy. Właśnie rzadkość wieńców u łani wplotła ten utwor w sieć fantazyi, a tajemnicza zagadkowość tego objawu i po dziś dzień nie została rozwiązaną. Ani wiedza paleontologiczna, ani teorya rozwoju organizmów nie odnalazły jeszcze przyczyn właściwych pojawiania się wieńców u łań, porostków u siut, tak, że pomimo zajmowania się tą kwestyą wielkich badaczy naszych czasów, zmuszeni jesteśmy zaspokaać naszą ciekawość w tym kierunku coraz to nowszemi hypotezami.

Lecznicze własności rogu jeleniego nie dają ani na chwilę spokoju starożytnym autorom, a J. C. Solinus w 3 wieku po Chr. w swym „Polyhistorze“ powtórzywszy za Aristotelesem stary o przyrodzie jelenia pacierz, staje okoniem przeciw swemu mistrzowi w kwestyi leczniczych własności lewego rogu. Według przekonania tego autora nie lewy, ale prawy róg jest wielce skutecznem lekarstwem.

Po tych ostatnich wynurzeniach literatury starożytnej, spoczął jeleń w długiem zapomnieniu, a gdy po tysiącleciu, w którem się zmieniła cała etnograficzna i kulturna szata ziem europejskich, poczęto znów pisać o jeleniu, to były to po największej części stare o nim sentencye, z pyłów bibliotecznych wygrzebane. Zdania ojca nauk przyrodniczych znalazły się powtórzone w pracach autorów XIII i XIV. wieku. Vincenty de Beauvais, Albertus Magnus, Gaston Phöbus, Fontainnes Guerin śpiewają znów stare piosnki, ozdabiając je rozmaitymi specyalnymi dodatkami, a w poezyi istnieją dalej łanie ze złotymi wieńcami (Petrarka). Albertus Magnus (Opus de animalibus) cieszy się niezmiernie, że znalazł lewy róg jelenia, Bauvais (Biblioteca mundi) wyraża przekonanie, że brak zębów w górnej szczęce jelenia nie jest w związku z wyrostem wieńców, bo nie posiada ich i łani. Zdanie Aeliana o łaniach z wieńcami, nie znajduje już wiary u przyrodników, a wyraża to najwyraźnie, Conrad Gesner już w 16 wieku: (Thierbuch, Zürich 1563 fol. 79) „Dem Hind oder Weiblin wachsend keine Horn, wie wohl etliche schreiben, aber ohne Glauben, dass auch gehörnte Hind sollend gesähen sein“, podawszy poprzednio w swym dziele (fol. 65 a.) bardzo pocieszny rysunek łani z wieńcami.

Wszyscy autorowie dotychczasowi zgadzają się, że wiek jelenia po wieńcach daje się rozpoznać tylko do 6 roku. Jelenie nie mające wieńców budzą szczególniejszą ciekawość autorów 16 wieku, a przyczynę tego starają sobie wytłumaczyć częstokroć w sposób nader humorystyczny, domyślając się jednak jakiejś organicznej łączności tego utworu z ustrojem płciowym.

Wiek siedmnasty, wiek upadku i zacofania, wywleka znów niezmierne mnóstwo sensacyjnych o jeleniu bajek, a do wysokości jakiegoś misterium podnosi się krwawienie wieńców. Autorowie rozwodzą się znów szeroko o leczniczych własnościach rogu w ogólności, przekonawszy się wreszcie o identycznych przymiotach lewego i prawego. Kwestya łań z wieńcami staje się wreszcie doświadczonym faktem, a Johannes Georgius Agricola (De natura cervi 1617 pag. 24) wspomina, że na dworze bawarskim znajdował się wieniec łani, oprawny w srebro, to samo w Augsburgu u barona Euggern, a markgraf Badeński miał złowić taką łanię i podarował ją królowi Francyi. Jeden z największych kompilatorów owego czasu Ulysses Aldrovandus (Quadrupedum historia Bononia 1621) nie wierzy jednak w podane przez Agricolę fakty i rozwodzi się nad niemożliwością czegoś podobnego, inni znów utrzymują wprost, że jest to dlatego niemożliwe, bo jakżeby się płci wtenczas rozpoznały. Jeszcze w 16 wieku pisała „eine fürneme Adelsperson in Frankreich“ jak się wyraża tłumacz dzieła „La Venerie par Jacque de Fovilloux że „in den Hoden groste Kraft und Tugend stecken (tłumaczenie z 1590), zwracając uwagę na łączność tychże z powstawaniem wieńców, zaś u naszych myśliwych 16 wieku istniała powszechna wiara, że stare jelenie czując się osłabionemi na siłach, trą jądrami tak długo o chropowatą korę, póki się nie pokaleczą i raz na zawsze nie pozbędą się przykrej żądzy w braku sił; po tej operacyi nie tracą wieńców, tak im do walki potrzebnych!

W wydanym w r. 1676 dziele (Georgii Franci de cornutis pag. 24) jest już wyraźnie określony sposób powstawania wieńców. Oto wyrastają one miasto zębów w górnej szczęce za przyczynieniem się nasienia, a z tem zdaniem, jak powiada autor, „stimt die ganze medizinische Fakultät überein“. Wbrew wszystkim autorom poprzednim nasz Rzączyński (hist. nat. cur. regni Pol. Sandom. 1721 p. 216), patrząc na monstrualnej wielkości wieńce polskich jeleni w sali rycerskiej w Gdańsku, nie wierzy, aby polskie jelenie miały co roku tak jak w innych krajach pozbywać się swych wieńców, a argument na to nielada: „zkądżeby w jednym roku tak bardzo urosły?“

W ogólności w specyalnej o jeleniu literaturze wszystkich wieków, poświęcono najwięcej miejsca wieńcom, jako najbardziej wpadającemu w oko wytworowi organizmu, a chcąc w rozmaity, spekulatywny sposób wytłumaczyć proces powstawania i zrzucania wieńców, chcąc odszukać

wszędzie cel utworów przyrody, wpadano na najdziwaczniejsze pomysły, komentowano każde słowo Arystotelesa w sposób intuicyjny. Powstała w ten sposób cała biblioteka dzieł o jeleniu — lecz zaznajomiwszy się z tymi foliantami, przychodzimy do smutnego przekonania: — oto po 2000 latach ery poarystotelesowej wiedziano mniej prawdy o przyrodzie jelenia, mnóstwo bowiem utonęło w mętach doktryneryi lub zabobonu, a ubytku tego nie mogły wypełnić nader stosunkowo szczupłe zdobycze wiedzy, opartej na bezpośrednim spostrzeżeniu. A przecież autorowie dzieł, z których tylko małą cząstkę starałem się dotknąć w pracy niniejszej, mieli w okół siebie bardzo wdzięczne pole doświadczalne, jeleń bowiem był zawsze przedmiotem wysoko cenionego łowiectwa, a chroniony drakońskiemi prawami lub „jure caduco“ rozwielmożnionych wasalów, zamieszkiwał knieje środkowej Europy obficie.

Lecz nietylko środkowa Europa posiadała mnogość jeleni, również i na północy w krajach przybrzeżnych morza bałtyckiego było go dosyć — stanowił przedmiot łowiectwa narodów myśliwskich, zamieszkujących te kraje, uwieczniwszy się w rozmaitym charakterze w bohaterskich pieśniach północy.

Podczas gdy w Kalewali, w epopei Finów znajdujemy bardzo piękny opis łowów jelenia, wprzęga go gdzieindziej fantazya mitologiczna w swój skrzydlaty rydwan, oddając mu ważną rolę w wymarzonych ideach o powstaniu świata.

W Eddzie jeleń Eiktyrnir ogryza liść jasionu Lärand, ocieniającego mieszkanie bogów. Z jego wieńców spada kroplami woda, syci źródła i żyżnymi strumieniami oblewa całą krainę. Oprócz tego jeszcze inne 4 jelenie pasą gałązki i liść jasionu, wyobrażającego w tym mycie odżywczą pierś natury. Oto dotyczący ustęp w przekładzie K Simrocka (p. 16, 17):

Eikthyrnir heisst der Hirsch vor Herrvaters Saal
Der an Lärands Laube zehrt.
Von seinem Horngeweih tropft aus nach Hwelgelmir [źródło]
Davon stammen alle Ströme.
Der Hirsche sind 4, die mit krummem Halse
An der Esche Ausschüssen weiden:
Dain und Dwalin
Dumyo und Durathror.

Nie mamy wprawdzie pisanych pomników własnego plemienia z tych odległych czasów, ztąd też nie możemy wiedzieć na pewne, jaką rolę odgrywać mogła postać jelenia w mytologicznej wyobraźni naszych przodków, lecz w ostatnich już czasach znaleźli się i tacy, którzy w najlepszej wierze odmawiają naszym praszczurom wszelkich wyobrażeń mytologicznych, dlatego, bo u nas podówczas poetów nie było (!), których jedynie dziełem są baśnie mytologiczne. Żal mi, że nie mogę tu zacytować imienia tej dawno zamarłej dziatwy Apollina, bo nietylko ona, ale wogóle wszystko, co podówczas żyło na tej ziemi, skryło się dla naszego oka w mrokach dziejów i jak bard szkocki śpiewa:

„Zniknęły ich grobowce na smutnej przestrzeni,
Przyszły lata — po latach burze i zatopy
I do szczętu zamszone spłukały okopy“.

Jednak cytuję tu całe nasze plemię, z którego każdy w dobrej chwili potrafi być poetą i snuć nić idei fantastycznych. Nitki te przetrwały burze i zatopy, przeszły aż do nas w niezliczonej ilości legend i podań, częstokroć w formie nieco zmienionej i uchrystyanizowanej pod wpływem nowej wiary. W takich to utworach fantazyi występuje i jeleń polski w rozmaitych dzielnicach ziem naszych, przynosząc nam echa zamierzchłych pojęć i wierzeń, silne tętna życia dawnego, barwiące jeszcze po dziś dzień lica narodu.

Dobre bóstwo strzeże jelenia przed zapalczywością myśliwego — gdy już grot morderczy ma przesłać z napiętego łuku, zjawisko nadprzyrodzone staje w obronie praw odwiecznych i ubezwładnia człowieka. W nimbusie jasnej aureoli spogląda jasne oko jelenia niby symbol uszczęśliwienia całej natury, niby wyraz swobody, zdrowia i łagodności na swego prześladowcę — milczenie najwyraźniej przemawia tu do duszy człowieka, rodzi pietyzm dla dzieł przyrody, uszlachetnia surowy umysł łowcy i w uchrystyanizowanej legendzie widzi oko myśliwego jasny krzyż w wieńcach swej ofiary. Lecz nietylko w legendzie o św. Hubercie zdarzają się takie epizody — myśl tę samą, ro zumie się zmienioną, wyrażają podania niezliczone i na naszej ziemi. Oto jeden przykład z pomiędzy wielu.

Ongi w ziemi Rudzkiej, zwanej tak od osady Ruda, przezwanej później ziemią wieluńską od miasta Wielunia, szumiała jeszcze w 13 wieku jednolita, ciemna, leśna puszcza. Z żyżnej ziemi tej wielkopolskiej dzielnicy, tryskały obfite i niezliczone źródła, sycąc strugi i potoki niezmiernej kniei Krył się tam w cieniu lasów zwierz wszelaki, a na zraszanych brzegach strumyków wyrastały smaczne pasze w odsłoniach. Używały tam wczasów i rajskiego spokoju i stada jeleni. Taka niczem niezakłócona idylla przetrwała długie wieki — nietylko w puszczy rudzkiej. — Natura otoczyła nieprzebytemi zapory raj wolności i swobody na długo, na całym niemal obszarze ziem naszych, a tymczasem u brzegów puszczy wrzała już zażarta walka pomiędzy rzadkim osiedleńcem a zwierzem, jako współzawodnikiem bytu. Ani środki ówczesne, ani potrzeba nie prowadziły człowieka w tajną matnię wnętrza, a smutne przykłady takich awanturniczych wypraw w okolice, nastroszone zewsząd zdradnemi zapory, nie mogły nikogo zachęcić. Niejeden poszedł i więcej nie wrócił — czy się zbłąkał w matecznikach puszczy, czy ugrzązł na wieki wraz z całym orszakiem w zdradnem jeziorzysku, czy wreszcie pożarł go zwierz drapieży — o tem wszystkiem chyba tylko baśń ludowa umie coś powiedzieć, potrafi wyśpiewać te dzieje ślepy bard na odpuście. A przepiękne to utwory fantazji narodu, utkane na tle życia łowieckiego, bogato upstrzone najczystszą poezyą natury, przepełnione wielkim dla niej pietyzmem, który u wszystkich niemal narodów świata wzrastał wreszcie do systemu religii. Ale nieubłagany ze swą kosą Chronos podcinał i usuwał z widowni dawne po kolenia: wymierają ojcowie, a coraz liczniejsi synowie i wnuki rozsiedlali się po puszczy, rozszerzając pod wpływem żelaznej konieczności coraz dalej w głąb swe sadyby. Coraz dalej w dziewicze przybytki sięgała ręka podbojowa, gdy większa już ludność, przygrywając na strunach miłości, wytwarzała coraz szersze pole dla ponurych dźwięków drugiej świat poruszającej struny głodu i potrzeby. Gdy przeto z jednej strony konieczność i walka o byt, zacieśniały pierścień niekłóconej przyrody, urastało z drugiej strony nowe niebezpieczeństwo — zgroza napadu własnoplemiennego wroga na nagromadzony dobytek. Nie było przeto innej rady jak połączyć rozprószone siły i poddać się władzy naczelnej wybranego lub narzuconego i ofiarą osobistej wolności okupić nadzieje spokoju i obrony ojczystych sadyb.

Większe, potężniejsze środki skoncentrowane w ręku możnych, zdołały daleko w głąb puszczy nieść wrzawę myśliwskich zapasów. Niby wojennym zgiełkiem zakipiały

spokojne dotychczas knieje, w których dotąd noga ludzka nie postała, przybytki, otoczone od dawnych wieków przesądem nietykalności. Tu koniecznie zetrzeć się musiał orszak myśliwski z niezliczonemi jestestwami, zamieszkującemi ten Panteon dawnej wiary, to też fantazya ludu nastrajała całą naturę puszczy do zemsty za doznane krzywdy i gwałty. Gdy z brzaskiem nowej wiary w miejscu zemsty, nowa barwa miłości poczęła zdobić obrazy fantazyi ludowej, pojawiły zamiast potworów, smoków, wywołanych mściwością zaniepokojonej natury, symbole wszystko podbijającej miłości, jako nowy Archeusz dzieł przyrody i zaświeciły odtąd promienne krzyże na niebie, zjawiły się baranki z hostyą, lub ręka Bogarcdzicy wychylała się z obłoków, zasłaniając płochą zwierzynę przed natarczywością myśliwego.

Skończyła się sielanka spokoju dla wielkopolskiej puszczy, gdy książę Władysław Odonicz w XIII. wieku z wielkim orszakiem i z ogromną złają zagnał się w nieprzebyte dotąd ostępy. Może po raz pierwszy zagrały w tem miejscu rogi łowieckich tryumfów fanfary, u nóg księcia przeszyty strzałą, legł ogromnych rozmiarów rogacz. Była to chwila przełomu w historyi natury tego pasma ziemi — łabędzi śpiew odwiecznych lasów — bo równocześnie znaki na niebie przenikają duszę książęcego myśliwego, na jasnym niebie świeci kielich niekrwawej ofiary, a pod nim biblijny baranek, gładzący grzechy świata. Żałuje krwi przelanej niewinnego zwierza, siekiera wnet tępi pełną grzesznych pokus puszczę, wytwarza się w tem miejscu osada, wznoszą się mury świątyni Bożego ciała, ku wiecznej pamięci cudu pozostaje w nadanej pieczęci miasta Wielunia baranek z hostyą. a do niedawna jeszcze istniała wśród rynku kamienica z wizerunkiem odoniczowego jelenia, niby pomnik na grobie królewskiego zwierza.

STRZELBA.

POGADANKA.

Strzelba!.. to towarzyszka wierna i pewna wypraw myśliwskich! To skarb dla myśliwego. To też prawdziwy myśliwy kocha swą strzelbę, szanuje ją, niemal pieści. Z tego to przywiązania wynikło stare przysłowie: „Strzelby i żony nikomu nie pożyczaj“. A wiadomo, że przysłowia są mądrością narodów. Dobry myśliwy boi się komuś pożyczyć swej strzelby, bo zdaje mu się, że ów ktoś mógłby tę jego co najmniej ulubioną skaleczyć, a broń Boże nawet mu ją zatracić

Porównajmy strzelbę myśliwską z karabinem. Ten ostatni to wytwór nauki a nie cywilizacyi. A jednak zdawaćby się mogło, że cywilizacya i nauka są dwie rzeczy nierozłączne, bo jedna bez drugiej istnieć nie może. Tam, gdzie niema rozwiniętych nauk, nie rozwija się cywilizacya, gdzie zaś tej niema nie rozwijają się nauki. Lecz one w dwóch panktach rozchodzą się z sobą, a to na punkcie etyki i miłości bliźniego. Cywilizacya bez tych dwóch czynników istnieć nie może a etyka jest w pewnym kierunku nawet jej podstawą. Nauka natomiast w wielu względach może zupełnie nie opierać się na etyce, a również tu i ówdzie grzeszy mocno wobec miłości bliźniego. Wszak to nauka dla celów przeważnie militarnych wynalazła melinity i zastosowała z nich naboje do dalekonośnych dział — wszak ta sama nauka, podpora rzekoma cywilizacyi, wynalazła proch strzelniczy i ta sama nauka wynalazła i ciągle udoskonala karabin, którego celem jest mordowanie bliźnich. Iluż to ludzi wysoko w technice wykształconych myśli jedynie o tem, jakiby jeszcze zrobić wynalazek, któryby pewniej i skuteczniej zabijał ludzi.

To stanowczo nie jest zgodnem z pojęciem o cywilizacyi — lecz nauka się z tem godzi. W roku 1866 Prusacy zaprezentowali karabiny odtylcowe tz. iglicówki. Odtąd w przeciągu lat 30 ileż to zmian, ile nowych pojawiło się wynalazków skierowanych do tego, aby karabin udoskonalić tj. zrobić z niego maszynę mordującą jak najszybciej, jak najcelniej i na jak największą odległość. Co chwila pojawiały się nowe systemy Chassepoty, Berdany, Martyni, Werndle, Manlichery... Ach! któżby mógł wyliczyć... Ich wynalazki kasowane przez nowych wynalazców, kosztowały państwa sumy kolosalne, które mogły i powinny były skierowane być na cele inne, humanitarne, zgodne z pojęciem o cywilizacyi.

To wszystko jednak dotyczy karabina, ale nie strzelby. Ona ani dziesiątej części tych zmian nie przechodziła i nie przechodzi co karabin, bo ona nie na człowieka, tylko na zwierza przeznaczona. Były ongi skałkówki, później kapiszonki, na chwilę pojawiły się lefoszówki, no a obecnie mamy tz. lankastrówki i gdzie niegdzie pojawiają się iglicówki.

Lecz od skałkówek do dziś, to całe wieki, A przez ten czas ile razy zmienił się karabin? To też śmiało twierdzić możemy, że karabin to walka i zamach na życie człowieka — strzelba zaś to sport, miły Bogu i ludziom. Mówię wyraźnie Bogu, bo już biblia uczy, że nasz pierwowzór Nemrod, ów sławny myśliwy, był w wielkich łaskach u Boga. I słusznie. Bo Wszechmocny stwarzając świat, a z nim ptaki i zwierzęta, zrobił człowieka panem nad niemi, pozwolił mu z nich korzystać i według jego woli, rozmnażać je lub tępić.

W pierwotnych czasach w polowaniu na zwierza łuk zastępował przodkom naszym dzisiejszą strzelbę. Ptaki zaś łowiono sokołami. My dzieci cywilizacyi posługujemy się wyłącznie strzelbą, bo z łuku strzały wypuścić nie umiemy, możeby nas naciąganie cięciwy męczyło — na sokoły nas nie stać. *Tempora mutantur et nos...*

Potrąciwszy o cywilizacyę, naukę, łuk itp., co gawędziarzowi się wybacza, zwracam się do przedmiotu mej pogadanki. do strzelby.

Przedewszystkiem zastanówmy się nad wyrażeniami: lufa i lufka. Z lufy strzela się kulami, z lufki natomiast przeważnie śrutem. Lufę prawidłowo zrobić nie jest żadną sztuką. Ściany fufy muszą być silne, a co za tem idzie muszą być grube. Byle był dobry materyał, to lada jaki rusznikarz podług danego przepisu dobrze ową lufę wywierci. Natomiast stzelba tj. lufki do śrutu i to dobre — są tylko dziełami przypadku. Naturalnie, pracując długo i ustawicznie nad wykończeniem lufek niektórzy rusznikarze dochodzą do tej znajomości rzeczy, że wyrabiają zna-

komicie śrutem bijące strzelby. Np. dziś już nie istniejąca firma „Lepage“ w Paryżu, „Lebieda“ w Pradze, J. Peterlonga w Insbrucku i w i, wzbudzają zaufanie. Pomimo to jednak zdarza się często, że fuzja za 50 zł. lepiej strzela, aniżeli inna za 200 zł., jakkolwiek obie pochodzą z jednej i tej samej fabryki. Znam fuzje niepokaźne, ciężkie, brzydkie o stalowych lufkach, którym nie dorówna w strzale najlepszy damastowy dziwer.

Grubo się też ci mylą, którzy z pozoru chcą o strzelbie ferować wyroki.

Zdarzyło mi się już w życiu spotkać taki wypadek: Jeden z zamożniejszych obywateli w Królestwie Polskiem miał ulubionego lokaja, dawnego sługę, z którym zwykle polował, zwłaszcza na ptaki. Lecz Feliks miał jakąś starą kapiszonkę. Ta strzelała niezgorzej, ale pana gniewało to ustawiczne „pompowanie“. Kupił więc swemu Feliksowi za kilkadziesiąt rubli lankastrówkę. To stało się właśnie w porze, kiedy idzie się w pole na kuropatwy. Ów pan, ot, tak dla żartu, wziął tę fuzję i o dziwo! Ta marna fuzyjka kupiona za tanie pieniądze strzelała świetnie, lepiej, niż inne jego strzelby, kupowane za drogie pieniądze. To spowodowało, że zostawił ją dla siebie i zawsze z nią chodzi na ptaki... Naturalnie o ile nie ma gości na takiem polowaniu, bo *noblese oblige* nie pozwala prezentować się towarzystwu z lichą na pozór bronią.

Dotąd myśliwi nasi nie orzekli, który kaliber jest najodpowiedniejszy. Skonstatować jednak można, że na polowaniach spotyka się najczęściej szesnastkę. Lecz dlaczego i w czem znajdowałaby się jej rzekoma wyższość nad innymi kalibrami, tego nikt nie umie określić Ja sądzę, że do kniei odpowiedniejszą jest dwunastka, bo przyjmuje silniejszy nabój. Tak samo zapatrują się i Anglicy, którzy używają tylko dwunastki, a bądź co bądź oni na punkcie wszelkiego rodzaju sportów przewyższają wszystkie narody.

W każdym jednak razie nie będąc fachowym znawcą, nie stawiam żadnych pewników. To jedno twierdzę, że każda fuzja dwunastka czy szesnastka, czy jakakolwiek inna, jest dobrą, jeżeli jest rzeczywiście dobrą, lecz ma się rozumieć, tylko w rękach dobrego strzelca. Fuszer i z najlepszej nic nie ubije. Ponad to zwracam uwagę, że są pewne fabryki, z których pochodzące bronie mają strzał bardzo silny. W mojej okolicy znam np. wiele strzelb firmy J. Peterlongo w Insbrucku, które, jakkolwiek w rozmaitych cenach, jednak wszystkie mają strzał bardzo silny.

Również i co do tego różnią się zdania — jak ma fuzya strzelać? Jedni wymagają od strzelby, aby gęsto biła, tj. aby w danym celu była jak największa ilość śrutu. Na to samo także przy kupnie strzelby zwracają uwagę sprzedający. Inni znów mówią, że strzelba, która zbyt gęsto trafia — słabo bije. Jest w tem twierdzeniu poniekąd racya, bo widzimy, że każda fuzya, jeżeli nabój słaby, gęsto bije. Natomiast, jeżeli dany nabój silny, to „rozrzuca“, lecz te śruty, które w cel trafią uderzają z podwójną siłą. Nie idzie za tem, ażeby dawać zbyt silne naboje, bo to wywołuje wprost przeciwny efekt. Gazy eksplodujące nie mogąc szybko naprzód się wydobyć uderzają w tył i fuzya „kopie“. W każdym jednak razie wolę fuzyę, która przy średniej odległości trafia, dajmy na to, w capa 5 lub najwyżej 6 śrutami, niż tę, z której strzał trafi go 15 śrutami Tamte bowiem 5 śrucin zwykle na wylot go przeszyją, a z tych 15 wiele zaraz za skórą zostaje.

Ważną bardzo do dobrego strzału jest rzeczą, aby łoże było odpowiedniem. Myśliwi naprzykład z krótką szyją potrzebują łoża krótkiego, nieco kolbistego. Jeżeli łoże jest dobrze zastosowane, to po dłuższem użyciu tej samej strzelby dochodzi się do takiej wprawy, iż popatrzywszy na jakiś przedmiot można następnie z zamrużonemi oczyma złożyć się i odrazu weźmie się go na cel — o czem, otworzywszy znów oczy, przekonać się można. Lecz to może mieć miejsce tylko w tym wypadku, jeżeli łoże jest odpowiednie do szyi strzelca. Kto myśli, że łoże może być jednakowem dla wszystkich strzelb, ten również mógłby utrzymywać, iż wszystkie kurtki myśliwskie powinny być podług jednej miary zrobione. Łoże odpowiednie to bardzo ważna rzecz. Nawet ta okoliczność, czy łoże wąskie, czy grube gra bardzo ważną rolę i wpływa na celność strzału.

Jednem z ostatnich ulepszeń strzelb jest wprowadzenie lufek tz. Chokebors. Tu fabrykanci broni naśladują fabrykantów sikawek. Ci ostatni bowiem doszli do tego przekonania, że, jeżeli strumień wody, idący przez węża, ścisną przy wylocie, to on z większą siłą wychodzi na zewnątrz. Rusznikarzom podobało się to niezmiernie i zaczęli stosować się do tego. Ztąd powstały Choke bory, tj. lufy mające o 1 miltr. mniejsze wyloty, jak właściwy kaliber tego by wymagał. Dziś u dubeltówek bardzo jest rozpowszechnionem, że prawka jest zwyczajną lufką, lewka zaś Chokebore. Tu jednak czasami dzieją się takie wypadki, że nieraz prawka strzela lepiej niż lewka sczokborowana, która bardzo często kopie, zwłaszcza jeżeli przybitka nie jest dość miękką i elastyczną.

Na zakończenie tej pogadanki poruszę jeszcze jedno. Wielu psuje sobie głowy nad tem, jak mierzyć i strzelać należy. Jedni powiadają, że do zwierza idącego szybko po równinie należy mierzyć przed niego. Jeżeli idzie pagórkiem należy brać go odrobinę wyżej, natomiast strzelając w dolinie trzeba brać bardzo pełno. To wszystko podług mnie są spory czysto akademickie i nie mają realnej podstawy. Proszę zapytać tak zwanych „fangszusiotów“, którzy bądź co bądź dobrze strzelają, czy oni kiedykolwiek mierzą. Przez długą wprawę dochodzą do tego że robią strzały, które nazwaćby można błyskawicznymi. Tu nie ma czasu na zastanawianie się jak brać zwierza na muszkę, bo niema wogóle czasu na celowanie. Jeden szybki rzut fuzyi do oka i równocześnie pada strzał, który zwierza powala

Kunktatorstwo w życiu jest niedobrem, nie rzadko się zdarza, że przez długie namyślanie się tracimy właściwą i odpowiednią chwilę, kunktatorstwo na polowaniu jest jeszcze gorszem.

K. Kozierowski.



NA TOKU.

„*Słuchaj pieśni mej wybrana,*
„*Jam miłości jest spragniony,*
„*Przyjmij mnie za twego pana —*
„*Wciąż ci będę nucił tony*
„*O miłości i o wiośnie,*
„*Które zefir w dal poniesie....*“

. . . .

Przestał.... zoczył strzelca w lesie,
No i drapnął, gdzie pieprz rośnie.

POLOWANIE I KOBIETY.

Człowiek jest urodzonym myśliwym. Przy tropieniu zwierzyny powraca do pierwotnych instynktów rasy i odnajduje się we właściwym sobie żywiole. Uganiając się za lisem lub sarną, najbardziej cywilizowany Europejczyk zdradza subtelność obserwacyi i cierpliwość, których nie powstydziłby się żaden czerwonoskóry. Instynkt zdobywcy zachował się w mężczyźnie współczesnym nienaruszony, jakim był za tych pięknych czasów, kiedy nasi przodkowie żyli w jaskiniach, ale za to wygasł zupełnie w sercu kobiety. Być może, iż ogólne zmiękczenie obyczajów naszych, wynik postępu całego szeregu wieków, wywarło większy wpływ na piękną połowę rodu ludzkiego; być może także, iż w chwili powstawania pierwszych zawiązków rodziny mężczyzna sam jeden był zmuszony dostarczać zwierzyny na wyżywienie kobiety i dzieci. Wszystko jedno zresztą, jak było, bo wystarcza nam dziś fakt, że myśliwi rodzaju męzkiego przedstawiają nieprzerwaną tradycyę od początku rodzaju ludzkiego, tymczasem myśliwi kobiety są produktem społeczeństwa tegoczesnego.

O roli kobiety w łowiectwie ogłosiła właśnie interesującą rozprawę w miesięczniku *Badmington Magasine* Angielka lady Mabel Howard. W Anglii zamiłowanie do jazdy konnej zaszczepiła w kobietach królowa Wiktorya. Zaledwie zasiadła na tronie, poleciła swemu wielkiemu koniuszemu trzymać do dyspozycyi dziesięć koni, których potrzebowała do odbywania przeglądów wojskowych. Wszystkie młode panny arystokracyi angielskiej poszły za przykładem królowej i niebawem stały się nieustraszonemi amazonkami. Królowa angielska nie miała potrzeby wystawiania się na niebezpieczeństwo polowań konnych, mimoto psiarnia królewska pozostała w komplecie i setki psów oczekują z niecierpliwością chwili, w której myśliwiec zasiądzie na tronie Anglii. Te dzielne zwierzęta posiadają świadomość swej bezużyteczności. Od lat sześćdziesięciu rodzą się i zdychają, służąc jedynie za pretekst do pobierania pensyi przez wielkiego łowczego i jego podwładnych, Anglia jest bowiem krajem, w którym urząd publiczny, raz postanowiony, trwa wiecznie.

Wielkie damy arystokracyi angielskiej nie miały skrupułów swej monarchini. Wprawiwszy się od dzieciństwa do jazdy konnej, zapragnęły polować. Panowie angielscy, wierni tradycyi swych przodków, nie znali innej rozrywki, tylko polowanie konno, a kobiety, które za przykładem królowej zostały amazonkami, nie chciały pozbawić się tej rozrywki. Zostały jednak wyklęte przez towarzystwo. Lady Howard w rozprawie swojej o psychologii dam polujących jest właśnie echem tych sfer, które rzucają anatema na kobiety, posiadające żyłkę myśliwską. Ironicznie dzieli je na trzy klasy: pierwsza — zdaniem jej — nie umie ani polować, ani jeździć konno, druga umie jeździć konno, ale nie ma pojęcia o polowaniu, trzecia wreszcie, którą można zliczyć na palcach, posiada pewne wiadomości o łowiectwie.

„Amazonki pierwszej klasy — pisze lady Howard — zwykle powracają z końmi poranionemi, co nie pozwala im brać często udziału w tej rozrywce i co prawda nieobecności ich nikt tam nie żałuje“. Liczba tych niedoświadczonych amazonek wzrosła znacznie od czasu, kiedy młode panny zajęły się bardziej welocypedem niż koniem. Mimoto w kółkach, które jeszcze nie wyrzekły się polowań konnych, zdarza się spotkać damy wcale nieźle jeżdżące.

„Druga, najliczniejsza z trzech kategoryj kobiet, mających zwyczaj polować — pisze lady Howard — składa się z amazonek nieustraszonych, które pragną, by przedewszystkiem podziwiano ich odwagę i znajdują największą przyjemność w przesadzaniu baryer. Zresztą mało je to obchodzi, czy psy gonią lisa, bo same zajęte są gonitwą za psami.

„Panie, znające się na łowiectwie nie są w Anglii liczne. Myśliwy powinien sobie uważać za wyjątkowe szczęście, jeżeli na polowaniu spotka damę, która tak dobrze trzyma się na koniu, iż nie budzi nieustannych objaw i nie robi zamieszania pomiędzy psami, kręcąc się wśród sfory, rozumie, że polowanie jest potrosze umiejętnością, i zdaje sobie sprawę z rozmaitych obrazów dramatu, rozgrywającego się przed jej oczyma.

„Z wyjątkiem ekonomistów i członków towarzystwa opieki nad zwierzętami, polowania konne, dla kwiatu towa-

rzystwa angielskiego, stanowią nietylko największą przyjemność, lecz są jego namiętnością. Jest to bardzo naturalne: człowiek doznaje pewnego uczucia szczęśliwości, jeżeli może iść za pierwotnemi instynktami swej rasy. Urodzony jest na myśliwca i pozostaje nim, chociaż konieczność nie zmusza go do tego. Obok zadowolenia z powrotu do początkowych warunków egzystencyi ludzkiej, należy postawić urok niebezpieczeństwa. Bez wątpienia polowanie na jelenia lub lisa nie daje tyle wrażeń, co polowanie na lwa lub tygrysa, ale upadki z konia w pełnym biegu nie są rzadkie, kiedy nie wolno zatrzymywać się przed żadną przeszkodą i bywają niekiedy śmiertelne.

„W krótkich przerwach roztacza się interesujące widowisko manewrów wykonywanych przez psy. W tym to okresie polowania niekompetencya kobiet zaznacza się najjaskrawiej. Nie mogą wcale pojąć entuzyazmu, jaki budzi w mężczyznach zmyślność jakiegoś „Claymora“, lub usługi oddane przez „Mayora“, który genialnym manewrem ocalił honor całej sfory.

„Kobiet wtajemniczonych w te sekrety jest niewiele, a i te znikną niebawem. Płoty z drutów żelaznych mnożą się w Anglii z dniem każdym i stają się coraz bardziej niedostępne. Wkrótce i mężczyźni, wobec zmieniających się warunków kultury w kraju, będą musieli wyrzec się rozrywki połączonej z najrozmaitszemi trudnościami.

„Kobietom przyszłej generacyi — kończy lady Howard — pozostanie przyjemność polowania z wyżłem, łowienia ryb, grania w krokieta i prawienia mów na zebraniach publicznych, ale nic nie zastąpi polowań na koniu“.

Tyle autorka angielska.

Niezmiennie interesujące byłoby studyum o roli kobiety polskiej w łowiectwie. Kobieta nasza, zwłaszcza na kresach ruskich, gdzie życie było jednem ciągłem strażowaniem wobec kozactwa i hord tatarskich, dzieliła nierzadko trudy obozowe męża, wyrabiając w sobie rycerskie popędy, a taka np. żona „małego rycerza“ z sienkiewiczowskiej epopei: nieustraszona Basia Wołodyjowska, dopraszająca się sama na „taniec z Tatarami“, była raczej typem owoczesnym, aniżeli wyjątkiem.

Pod tym względem kobiety polskie z 16. i 17. stulecia stanowiły swego rodzaju unikat w Europie. Podczas gdy na zachodzie, zasłoniętym naszemi piersiami od najazdów azyatyckich, damy wydoskonalały się w arkanach toaletowych i tańcu, u nas kobieta oswajała się ze strzelbą, z koniem, z trudami obozowego życia, a bardzo często i z bitwą. Tylko taki naród, jak nasz, mógł wydać z siebie Zofię Chrzanowską, a w nowszych czasach Emilię Plater.

W takim stanie rzeczy, wobec powszechnego zamiłowania do rycerskich praktyk, polowanie musiało niezawodnie stanowić jedną z najulubieńszych rozrywek kobiet naszych. Nie brak nam zresztą na to dowodów. Wiemy bowiem, że siostra słynnego „księcia Panie kochanku“, generałowa Morawska, większą część życia niemal spędziła w puszczy białowieskiej ze strzelbą na ramieniu.

Atawistycznie owa żyłka do polowań przejść musiała na kobietę współczesną, a chociaż zmienione warunki bytu nie pozwalają jej rozwinąć się w całej pełni, musi ona niewątpliwie drzemać pod powłoką codziennych zajęć. Interesującem byłoby zestawienie w całość wszelkich przechowanych dotąd tradycyj o kobiecie polskiej, jako myśliwej, tem bardziej, że oprócz czysto historycznego i kronikarskiego znaczenia, miałoby ono także niemałą wartość psychologiczną, a więc naukową i wyświetliłoby w pewnej części historyę kobiety w Polsce.

Redakcya nasza, chcąc zestawienie także doprowadzić do skutku, zwraca się niniejszem do pięknych czytelniczek i do czytelników *Łowca* z prośbą o współudział w tej pracy. Dla ułatwienia roboty prosimy mianowicie, o odpowiedzi na następujące kwestye:

1. Czy w danej okolicy kobiety biorą udział w łowiectwie?

2. Czy jestto objaw zbiorowy, czy też zachodzą tylko oderwane wypadki?

3. Czy pod tym względem zachowały się tradycye z dawnych czasów i jakie?

4. Jak na udział kobiety w łowiectwie zapatrują się łowcy miejscowi?

5. W jakich rodzajach polowań kobiety biorą najchętniej udział?

6. Czy istnieją przykłady nadzwyczajnych sukcesów, odniesionych przez kobietę w zakresie polowania?

Po otrzymaniu odpowiedzi z różnych stron kraju, będziemy mogli dać interesującą całość, która w dalszym ciągu jeszcze wywoła zapewne żywą dyskusyę.



O ŻUBRZE.

Zygmunt Gloger napisał studyum o żubrze z Białowieży. Podajemy z tej ciekawej pracy kilka ustępów końcowych:

„Najwięcej żubrów — pisze Gloger — przebywa w strażach: augustowskiej, hajnowskiej i krukowskiej. Obliczanie żubrów odbywało się z dawnych czasów, raz do roku, podczas każdej zimy, jednego dnia w całej puszczy.

Były dla żubrów czasy bardzo ciężkie, gdy w latach 1795—1807, granica tak nazwanych, przez lat 11 istniejących „Prus nowo-wschodnich" biegła zachodnim brzegiem puszczy, potworzyły się całe bandy zbrojnych kłusowników, które wpadały do puszczy, celem zdobycia zwierzyny, bardzo licznie w poprzednich czasach zahodowanej. W owych to czasach liczba żubrów miała się zmniejszyć z 700 na 300, co, gdyby stan podobny potrwał dłużej, groziło żubrowi zupełnem jego wytępieniem. Podług obliczenia z r. 1821, zatem po 15-tu latach troskliwej znowu opieki, naliczono żubrów 732, a w tej liczbie samców 331, samic 258 i cieląt rocznych 93. W roku 1829-ym ogólna liczba żubrów wynosiła 711, zatem o 21 mniej. W roku 1883-im było ich 568, a w roku następnym tylko 383. Od roku 1885-go zaczęła liczba znowu powoli zwrastać i powiększyła się do roku 1887 z 411 na 440.

Obecnie niedźwiedzie i wilki zostały w puszczy wytępione, ale za to w kilkunastu wioskach puszczańskich przybyło znacznie ludności i bydła rogatego. Pastewniki leśne (dla tego bydła wynajmowane za opłatą pół rubla od sztuki) zajmują znaczne przestrzenie, a są prawie wszędzie żerdziami pogradzane. Zdarzają się jednak kolizye między domową i dziką rogacizną, wypadki, że żubr, napotkawszy domowego buhaja lub wołu (dla krów jest obojętnym sąsiadem), wpada w wściekłość, bierze go na rogi i przerzuca przez siebie.

Rzeka Narew, mająca swoje źródła na wschodnim krańcu lasów białowieskich, rozdziela przyległe do siebie dwie puszcze, a mianowicie Białowieską, 22 i pół mil kwadratowych i Świsłocką 5 mil kw. Puszcza Świsłocka od lat 60 do Białowieskiej przyłączona, jest siedliskiem kilkudziesięciu sztuk żubrów, które podobno z sąsiadami białowieskimi nie komunikują się.

Podczas jednej z moich wycieczek przybyliśmy tu około południa do osady leśnej, zwanej Żarszczyzną, o której słyszeliśmy, że leży w miejscowości ulubionej przez żubry. Tuż za chatą stróża żubrowego Michasia Bołkota, zaczynał się gęsty liściasty ostęp. Udawszy się z dwoma przewodnikami do tej kniei, nie uszliśmy więcej tysiąca kroków, gdy przewodnicy ukazali nam świeże legowisko dwóch żubrów. Czarna jak węgiel, pulchna, wilgotna, nie zarosła trawą, bo w cieniu gęstych lip i dębów ziemia rozgrzebana była racicami i przedstawiała dwie wklęsłości, jakby dwa gniazda z odciskami dwóch ciężkich zwierząt. Odór w rodzaju pizma świadczył, że dwa stare żubry spoczywały tu przed chwilą i muszą znajdować się niedaleko. Na grzązkim czarnoziemiu świeże były tropy, w ślad których udaliśmy się za żubrami, powstrzymując oddech, aby najmniejszym szmerem nie zdradzić naszej obecności. Niebawem bystre oko Michasia Bołkota dostrzegło o sto kroków pasące się zwierzęta. Jeden żubr był średniej wielkości, drugi stary olbrzym. Długimi i gładkimi, lecz zakończonymi bujną kitą ogonami, opędzały się przed tumanami dokuczliwych much i komarów. Gdy się oddalały od siebie, jeden z nich wydawał czasem głos ponurego, krótkiego mruczenia, podobnego do chrząkania świni. Przewodnicy objaśnili nas, że żubry nigdy nie ryczą jak bydło domowe, ale wydają jedyny ten głos, dający się podczas ciszy słyszeć w odległości dwustu kroków, którym odszukują się i nawołują.

Ukrywszy się w gęstwinie, wysłaliśmy obu strzelców, aby okrążyli żubry i spłoszyli je od strony przeciwnej, napędzając ku nam. Przewodnicy znikli w ostępie z kundlem, którego Michaś na sznurku przy sobie prowadził. Zostałem sam z moim towarzyszem wobec żubrów nie poruszając się prawie i śledząc tylko wzrokiem zwierzęta, które nie domyślały się naszej obecności. Minął cały kwandrans głuchej ciszy, po którym posłyszeliśmy nagle szczucie psa i krzyki obławnicze. Kundel rzucił się na żubry, a te poskoczyły galopem prosto ku nam. Widok był prawdziwie królewski i niech żałuje, kto go nie widział. Przez dziewicze knieje i zwaliska potężnych drzew, z łoskotem walących się gałęzi i drzeniem ziemi, sadziły lekko dwa ogromy, bryzgając tylko czarnem błotem dokoła. Tak wspaniałego obrazu pierwotnej przyrody nie zobaczycie już nigdy w Europie. Żubry nie widząc nas ukrytych za drzewami, tuż obok przebiegły w szalonym pędzie i znikły w gąszczu kniei, a tylko słychać było jeszcze za nimi głuchy tętent ziemi i łoskot leśnych łomów, tworzących tu na każdym prawie kroku odwieczne barykady, nieuprzątane przez nikogo.

Wieczorem, gdy przy gościnnem ognisku Michasia Bołkota zajadaliśmy smaczną jajecznicę, gospodarz opowiadał nam z całą wieśniaczą szczerością swoje 30-letnie stosunki i zajścia sąsiedzkie z żubrami kniei, do której dotykała jego leśniczówka.

– Ot raz — mówił — idąc sobie zamyślony, spotkałem się oko w oko z tym samym starym, co tak przed naszym łyskiem dziś uciekał. Ja na bok, a on do mnie, ja za sosnę, a on koło sosny. I tak zaczęliśmy tańcować, ale widzę, że nie dam rady, więc rzuciłem mu w oczy, moją torbę borsuczą, a on się jeszcze gorzej rozezłował. Widzę, że się mu nie wykręcę, więc padłem jak długi na ziemię, gdzie było najniżej. A on gwałtem chce mnie wziąć na rogi, tylko, że podsadzić rogów pod leżącego nie może. Ja mówię pacierz, jeno przeżegnać się nie mogę, żeby mnie pod rękę nie zaczepił, a ten dziad brodaty maca mnie po łopatkach rogami, że aż mi burkę na plecach podarł. Aż potem, gdy duchu długo nie dawałem, myślał, że już mnie pokonał i dał mi w końcu spokój. A co baba moja naklęła brodacza potem, że popruł mi burkę na plecach, bo była z nowego samodziału jej roboty.

Michał Bołkot opowiadał nam o całem tem zdarzeniu, nie jak o tragicznym wypadku w którym mógł łatwo życie postradać, ale jak o przygodzie zwykłej i zabawnej.



Raz o słońca wschodzie....

. . . .

.... A jak to było raz o słońca wschodzie,
Kto chce, niech mojej powieści posłucha...

. . . .

Noc była cicha — jak w duchów pochodzie
Z nad pola dźwięków niosła się do ucha
Taka pajęcza, przeczysta kaskada —
Jak gdyby tylko echa była echem...
Po niebie chmurek wełnistych szły stada,
Dyszące jakby tych dźwięków oddechem...
I cisza była — i nic prócz tej ciszy,
Że się zdawało — ciszą ziemia dyszy...

. . . .

.... W takiej to nocy, raz o wschodzie słońca
Stanąłem, z duszą w tę ciszę zaklętą,
Czekając z drżeniem zjawienia się gońca,
Który obwieści ziemi wielkie święto —
To święto, które od świata stworzenia
Walką się znaczy i odbywa co dnia,
Wciąż jednostajne, nigdy się nie zmienia —
A człek je widzi — i z miną przechodnia
Obojętnego patrzy i... mknie dalej,
Choć tam wre walka: — dzień czy noc się zwali?

. . . .

.... W takiej to nocy... nie, to już nie była
Noc, co po ziemi rozległa się ciszą,
Bo już czuć było, że inna się siła
Zbliża — inaczej twory boskie dyszą:
Tu kwiat ciekawie swe listki rozchyla,
Tam ptak się budząc, skrzydełkiem trzepoce,
Tu wietrzyk rwie się, jakby lada chwila
Z nocą tą znikać miały wszystkie noce,
Runąć na zawsze w wszechmocy otchłanie
Z piętnem, że żadna nad światem nie stanie....

. . . .

.... Światło zwycięża... wnet owładnie wszystkiem,
Nocy pierzchają cienie tajemnicze.
Już i las zadrżał każdym drzewa listkiem,
Bo lada chwila wzniesie się oblicze
Złotawe słońca i po jasnem łonie
Niebios przeczystych sunąc się wspaniale,
Mroki tej nocy zdradzieckiej pochłonie,
Jasnych promieni rozlewając fale —
Aż wreszcie błyśnie całym majestatem,
Jakby rzec chciało: — „Ja owładam światem!!!“

. . . .

.... Nocy już niema — cieni pierzchła tłuszcza,
Walka tryumfem skończyła się słońca,
Ono wciąż jeszcze za nią strzały puszcza,
Aby nie mogła tą ciszą dysząca,
Ciszą zabójczą — wrócić...
Noc uciekła
I już jej niema, chociaż czuć jej drgania,
Jak potępieńca, który na dnie piekła,
Szalejąc z bólu, targa się i słania...
Sama nie wiedząc, gdzie ją losy niosą,
Wściekła, bezsilna... spłakała się rosą...

. . . .

.... W kropelki rosy — słońca barwą tęczy
Przenika, jakby osuszyć łzy chciało
Zwalczonej nocy, która, słychać, jęczy
Dalekim szumem, jakby jej za mało
Było władania....
O znikajże, nocy!
Witaj mi słońce i suń się powoli,
Stój nawet w miejscu, bym ciemności mocy
Już nie odczuwał... Ciemnota tak boli —
I tak pochłania wszystko w swym pochodzie....

. . . .

.... Tak, tak myślałem... raz o słońca wschodzie...

Antoni Jastrzębiec.

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Panienka wybuchnęła wesołym śmiechem, spojrzawszy w tej chwili na Poraj-Rozena, który także trzymał się za kolano, doznawszy widocznie jakiegoś niemiłego strzykania.

Drugi dzwonek, wzywający do kolacyi, przerwał zabawę. Wróciliśmy do zamku uroczyście, przez główne drzwi i wspaniały przedsionek. Wuj Zygmunt już mnie nie łajał, bo nadjechał tymczasem nasz krewny Oleś Topolski, sławny elegant. z lokajem, na którym narachował marszałek sto cztery herbowe guziki. Lokaj ten stał się przedmiotem uwag marszałka na cały wieczór. Zresztą po kolacyi niedługo już siedzieliśmy, bo z uderzeniem dziesiątej godziny, babunia Honorata dała znak do rozejścia się. Po zwykłej ceremonii ucałowania rąk, zabraliśmy się do spania. Gdym na dobranoc całował wuja Zygmunta w ramię, przycisnął mnie serdecznie do piersi i gładząc po głowie, rzekł:

— Może jeszcze co z ciebie i będzie... Pamiętaj tylko, żebyś nigdy nie miał lokaja ze sto czterema guzikami, bo to głupio i śmiesznie.

Andrzej, Kazio i ja stalismy w jednym pokoju. Wesoło tam było. Oleś Topolski nie mając dziś jeszcze stosownego dla siebie towarzystwa, a ulokowany w pokoju tuż obok, przyszedł do nas na gawędę.

Fagas jego wygalonowany, z głupią miną, stał we drzwiach, czekając rozkazów pańskich. Zabrał się wnet do niego Kazik i począł sprawdzać rachunek marszałka ku wielkiej swej uciesze. Skonstatował, że się marszałek o jeden guzik pomylił, ponieważ w drodze chłopczysko stracił jeden guzik przy kamaszach. Odkrycie to wprawiło Olesia w szalenie zły humor. Złajał chłopaka, co się zmieściło, wykrzykując raz po raz:

— Wolałeś durniu zgubić swą pustą głowę, niż ten guzik... Takiego nigdzie tu nie dostanie, choć ze Lwowa sprowadzaj jeden guzik dla bałwana.

Na to Andrzej Pomian, sławny flegmatyk i sensat powiedział:

— To już nie jego wina, że zapasu nie masz, jak się sprawia takie guziki, jakich nigdzie blisko dostać nie można, to się zawsze coś na zapas zostawia.

— Herbowe patrony mam — zawołał zrozpaczony swem olbrzymiem nieszczęściem Oleś — ale kto mi to potrafi odlać z takiego mosiądzu... Czekaj, czekaj, gałganie — zwrócił się do chłopaka, prawdziwej ofiary mody— odbiję ja ci ten guzik z procentem. Dam ja ci guziki tracić... Ach! gdzież, łazisz jak niedźwiedź, jak małpa, lepiej ci w czuhaju chodzić.

— Ta ja, proszę jaśnie pana, nie napraszał się tej „luberyi“! Sto razy lepiej chodzić w czuhaju, człowiek może zrobić, co zechce.

— Milcz, gałganie! — zawołał doprowadzony do ostateczności elegant i bojąc się znać dalszej rozmowy z chłopakiem, wyniósł się milczkiem do swego pokoju...

Za dziesięć minut usłyszeliśmy równe, głośne chrapanie eleganckiego Olesia.

— To ci dopiero lala! — szepnął do nas Kazik. — Czy wy takich dużo macie? Niechby jemu marszałek garbował skórę, choćby co tygodnia, możeby się to na co zdało.

Byliśmy we trzech tylko, uznałem więc, że będzie to najstosowniejsza chwila rozmówienia się z Andrzejem w kwestyi przyjazdu do nas Kazika... Pomian, jak tego zresztą spodziewałem się, nietylko nie robił żadnych zgoła trudności; przeciwnie obiecał najsolennej, że Kondraszka przywiezie sam, w tydzień po imieninach Anuli, że go zostawi u nas na parę tygodni, a sam wybierze się z wizytami daleko, bo aż do mieszkających na Ukrainie krewnych.

Sprawa była w kilku słowach załatwiona. Usypiałem szczęśliwy, marząc co prawda więcej o rozkoszy, z jaką będę podawał pannie Jadwidze mą pierwszą upolowaną zwierzynę, niż o przyjemnościach dłuższego obcowania z Kondraszkiem. Trudno, nikt nie jest w stanie zmienić serc młodzieńczych.

* *

Dzień imienin babuni, od wczesnego poranka, zapowiadał się bardzo uroczyście. Małe Pomianowskie odrazu wystąpiły w białych, tiulowych sukienkach z barwnemi wstążkami. Anula sama wyrecytowała długie, wierszowane powinszowanie po francusku, pełne górnolotnych wyrazów i niemieckiego sentymentalizmu, nie licującego zupełnie z trzeźwą mową Galów. Dowiedzieliśmy się przy tem, że to był utwór owej panny Polstorff, która tak działała na nerwy Kondraszkowe. Sztywna Niemka, przez cały czas trwania deklamacyi stała tuż obok swej uczenicy i mierzyła ją wzrokiem pilnując, żeby biedna Anula ani słowa nie opuściła z tego wspaniałego utworu.

— Żal mi było wówczas Anuli okrutnie.

Najmłodsza Brońcia nie chciała się wdawać w deklamacye, oświadczając stanowczo, że „życzy babuni ścienścia, zdrowia i pociechi z wniuków“ i oddała przytem ozdobny arkusik papieru, obwiązany błękitną wstążeczką, na którym były wypisane jej wymęczoną rączką długie rymy wyduszone z głowy panny Adeli Równik, reprezentantki polskiej narodowości wśród różnojęzycznego tłumu pedagogicznych sił pomianowieckiego zamku.

My wszyscy starsi składaliśmy życzenia bez poprzedniego przygotowania. Najbardziej kwieciście wypadło powinszowanie pana Poraj-Rozena, który chciał w ten sposób zjednać sobie protekcyę babuni. Podczas tej wspaniałej przemowy, Kondraszek stojący tuż obok mnie, szczypnął mnie dwa razy w bok i ciągle szeptał do ucha:

— Niech ta mumia raz skończy, bo słuchać nie mogę.

Po chwili zaś dodał:

— Poradź mu, żeby się ożenił ze starą Polstorff... Oboje mają talent do wzniosłości... Toby dopiero wzniosłe rzeczy razem stworzyli.

Bałem się, że słowa Kazika pobudzą mnie do śmiechu, a czułem, że toby było zupełnie nie na miejscu, więc szepnąłem mu do ucha:

— Na miłość boską, nie śmiesz mnie, bo jak się rozśmieję, to będzie znowu bura od marszałka.

Na to on do mnie:

— Patrz tylko, jak ten Oleś Topolski gębę otwiera, słuchając słów tego adoratora od siedmiu boleści... Ręczę ci, że zazdrości i Porajowi i Rozenowi i obu razem w jednej osobie, że on nie potrafi takiej mowy wygadać.

Uciekłem poprostu od mego przyjaciela, żeby dłużej nie słuchać jego konceptów i nie popsuć uroczystej chwili swem niestosownem zachowaniem. Zauważyłem, z drugiego końca salonu, że Kondraszek zbliżył się po mem odejściu do panny Polstorff i coś z nią rozmawiał z wielkiem ożywieniem: zapewne unosił się nad wspaniałą treścią i artystyczną formą poetyckiego utworu, skomponowanego przez nią na cześć solenizantki. Z miny Niemki wnioskowałem, że Kondraszek podbił ją zupełnie i że stała się żarliwą jego stronniczką i przyjaciółką. Miał on dziwny, niebywały talent zjednywania sobie ludzi, kpiąc z nich w żywe oczy.

Około godziny dwunastej zaczęli się zjeżdżać bliżsi sąsiedzi i ci z krewnych, którzy albo nie dojechali wczoraj, albo tak blisko mieszkali, że mogli tego samego dnia z Pomianówki do domu wrócić.

Przyjechały więc dwie prześliczne panny Rawiczanki, siostry cioteczne mej matki, ze swą babką panią Daszkowską, starszą znacznie i od mej babki i od babuni Honoraty. Przyjechała dalsza ciotka pani Korkoszewska ze swą córką panną Emilią i jej narzeczonym Jasiem Owczyńskim. Zjawił się i nudny sąsiad Pomianówki pan Bolesław Jankiewicz, a tuż za nim nadjechał jego wieczny prześladowca, a ukochany przyjaciel nasz, młodych chłopaków — pan rotmistrz Białogrodzki.

Powóz zajeżdżał za powozem, wózek bałagulski za europejskim kuryklem... Ogromne pokoje zapełniały się z błyskawiczną szybkością. O pierwszej do śniadania zasiadło już około ośmdziesięciu osób. Stoły ustawiono w podkowy, a najstarszy Pomian — Narcyz, który w nocy powrócił był z jakiejś romantycznej wycieczki i ukazał się dopiero do śniadania, z ogromną gościnnością i serdecznością zapraszał do obfitego używania doskonałych win pomianowieckich i odwiecznych miodów... Mężczyźni nie dawali się długo prosić, butelki wypróżniały się nadzwyczajnie szybko, a odbijało się to z geometrycznym postępem na humorze biesiadników. Poraj-Rozen wzdychał jak krokodyl w piasku i robił nudnie, słodkie oczy do Jadwini. Pan Bolesław Jankiewicz tak się rozczulił, że publicznie przy stole chciał ściskać rotmistrza Białogrodzkiego, kpiącego zeń niemiłosiernie i twierdził głośno, że lepszego przyjaciela niż rotmistrz, nie miał jeszcze w życiu.

Rotmistrza Białogrodzkiego już wówczas lubiłem ogromnie, później miał się on stać kierownikiem i mentorem mej gorącej, burzliwej młodości. To też już wówczas z zajęciem przysłuchiwałem się jego żartom i cała moja sympatya była po stronie wesołego i eleganckiego rotmistrza, a nie nudnego Jankiewicza.

Drugim człowiekiem, którego widziałem wówczas po raz pierwszy, a który zwrócił na siebie mą baczną uwagę był ów Jaś Owczyński, narzeczony kuzynki mej Emilki Korkoszewskiej. Był on niezwykle piękny, ogromnie miły i tak ujmujący, że nikt się zgoła nie dziwił, iż Emilka, mająca trzykroć sto tysięcy rubli posagu, zdecydowała się wyjść za niego, chociaż oprócz wściekle chodzącej czwórki bałagulskiej, niezapłaconej dzierżawy na dwustu morgowym folwarku i sławnych chartów, nic zgoła nie posiadał... W tym Jasiu imponowało mi to, że z nikogo sobie nic nie robił, zachowywał się zupełnie tak, jak gdyby on, jakiś królewicz zaczarowany, zniżał się ze swych bajecznych królestw do zwykłej, pospolitej ziemianki, Milki Korkoszewskiej i raczył przyjmować w dodatku do niej i te marne kilkakroć stotysięcy rubli, których właściwie zupełnie nie potrzebował i bez nich się mógł doskonale obchodzić... Czy był on w niej zakochany? Tego nikt dojść nie mógł. Starsze panie stanowczo utrzymywały, że nie. Chociaż później, gdy został jej mężem, złożył niezbite dowody swego przywiązania i... cierpliwości. Owego dnia w Pomianówce, ściągnął na siebie gromy wszystkich starszych państwem „beztaktownem“ zachowaniem się... Zobaczywszy Marcię Rawiczankę, która mimochodem powiedziawszy, cudownie tego dnia wyglądała, zapomniał zupełnie o swej narzeczonej i tak demonstracyjnie zaczął Marci nadskakiwać, że obie babunie i pani Daszkowska w swym gniewie nie mogły się uspokoić. Biedna Marcia dostawała burę po burze, ale nic to nie pomagało, Jaś od niej nie odstępował ani na krok. Od śniadania do obiadu, przy obiedzie i z początkiem tańców Jaś był ciągle w najbliższem sąsiedztwie różowej sukienki, zdobiącej wyniosłą i gibką kibić ciemnookiej Rawiczanki...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULIAN FAŁAT.

Sylwetka artystyczna*).

Bacon określił istotę artyzmu w sposób bardzo głęboki: „Sztuka jestto człowiek dodany do przyrody“. Istotnie mówiąc o Fałacie trudno zapomnieć o tem powiedzeniu, bo w nim bardziej, niż w którymkolwiek z naszych wielkich malarzy znalazła natura wielkiego wielbiciela, króla ducha. Wprawdzie przyroda w akwarelach Fałata nie ma charakteru pejzażu, owszem służy zawsze za tło dla wielkiego tłumu, czy myśliwych, czy sfory psiej, czy pędzących powózkami ludzi, ale ona zawsze i wszędzie przewija się w pracach naszego akwarelisty, jako motyw poważny, traktowany z wielką miłością i jeszcze większem odczuciem. Działalność Fałata co do treści dałaby się wyrazić w krótkiem zdaniu: z polowania na polowanie. Bo wszystkie jego dzieła, to gęstwie leśne, zadrzemane w rannych świtach, jakieś sosny, świerki, stojące na żółtych warstwach przegniłych igieł, napełnione graniem rogów i ujadaniem psów. Fałat lubi śnieg, lubi zimę — bo lubi fanatycznie polowanie. To też ten śnieg, leżący w zagajnikach jest pysznym, zawsze oświetlonym przez blaski, przedziera-

*) Rozpoczynamy niniejszem druk sylwetki Juliana Fałata, najgenjalniejszego z polskich mistrzów akwareli, który tak bardzo ukochał łowiectwo, iż zrobił z niego prawie jedyny motyw swojego artystycznego natchnienia. Któryż łowiec polski nie zna i nie podziwia arcydzieł Fałata, jego prześlicznych scen z polowań naszych? Toteż sądzimy, że sylwetkę znakomitego artysty-łowca przyjmą czytelnicy nasi z uznaniem, jako hołd złożony wielkiemu, a tak bardzo bliskiemu, nam talentowi. Sylwetka pochodzi z pod pióra dra E. Ł. jednego z wybitnych znawców sztuki. (Przypisek redakcyi).

jące leśną kopułę. Oprócz śniegu, pożółkłej zieleni i nieba, jest na Fałata obrazie jeszcze jeden potężny motyw. Są więc myśliwi zmęczeni, ale weseli, zapaleni sportsmeni, którzy gotowi są tak dąć w róg, jak wojski w „Panu Tadeuszu“, a tak spędzić całe życie, jak Nemrod i jeszcze potem dać się w jakimś ostępie pochować, aby z grobu nadsłuchiwać stąpania „misia“, lub lekkiego pędu rogacza. Ci ludzie wszyscy się śmieją, wszyscy oddechają szeroko, a najlepiej możnaby określić ich wyraz twarzy dwoma słowy: to naiwne dzieci... Bo ci poważni, często marsowaci mężczyźni pląsają po polach, jak młodziki w mazurze, a ich tchnieniem całem ten swobodny wiew wstrząsający drzewa i ta cisza natury rozlewająca się dokoła. Oni tu królami, oni, jak rycerze pierwotni, biegną w ślad nagonki i grania psów, trzymają kurki odwiedzione, gotowi do boju. Fałata ludzie mają szczególny urok i szczególną siłę, bo nie są to pospolici filistrzy, którzy zamiast siedzieć przy zielonym stoliku, poszli do lasu, aby się przewietrzyć, aby napsuć trochę prochu i potem po myśliwsku kłamać, ale prawdziwi Nemrodzi, gracze zapaleni, z równą pasją kochający przyrodę, jak polowanie. Fałat jest wielkim poetą łowów — a jego ludzie są poetami — Nemrodami. I dlatego są niezwyczajnie sympatyczni, ciepli, jacyś nasi, domowi, kochani. Nie wie widz zkąd i z jakiego powodu, ale patrząc na nich przypominają mu się zaścianki szlacheckie i jakieś sceny jakby bojowe, trącące ojczystą nutą. Bo ci ludzie wprawdzie polują, jednak wierzyć się chce, że każdej chwili gotowi są i mieczem się rozprawić. A oprócz myśliwych są jeszcze psy i ofiary całego wesela... rogacze zabite, rozmaite zwierzęta zwłaszcza niedźwiedź. „Misia“ robi Fałat *con amore*. Jego niedźwiedź, to zwierz ciężki, ospały, choć mądrze patrzący, a wściekły, że mu rozburzono leśny spokój. Mimowoli się myśli, że gdyby tego typu zoologicznego nie było, to przyroda musiałaby go stworzyć według recepty malarskiej Fałata. Tak n. p. wisi obecnie nowy obraz Fałata na wystawie lwowskiego towarzystwa sztuk pięknych. Myśliwi, czy naganiacze wynoszą z zaśnieżonego lasu, ubitego niedźwiedzia. Zwierz ma cielsko ogromnie otyłe, a choć oczy już nie żyją, przebija się w nich ta brutalna moc, z jaką musiał opędzać się napastnikom. A ci napastni, trzymając go na plecach, tryumfują, śmieją się, jakby wołali: pif, paf! I tak zawsze. Fałat nie goni za różnością tematu, owszem trzyma się jednego prawie wiernie i snuje z niego waryacye, z których każda inaczej obmyślona i przeprowadzona. Należy on do tych nielicznych u nas malarzy, którym chodzi głównie o oddanie wrażenia barw. Ze względu na technikę zajmuje w dziejach naszego malarstwa jedno z miejsc naczelnych. Zanim przystąpimy do wysubtelnienia szczegółów, — to zilustrujemy na kilku obrazach tendencyę malarską jego dzieł. Mamy przed sobą puszczę litewską, z połamanymi pniami drzew i sterczącemi sosnami. Mgła poranna wstała z moczarów i dosięgła wysokości połowy lasu. Na niebie jasnem i zróżowionem świecą się żywo plamki barwnych chmurek. Na wystawie krajowej w 1894 r. było płótno przedstawiające bór o złotych i jesiennych liściach i wodach, które tak błękitnieją, jak wiosną. Przerwały snać tamy i rozeszły się po puszczy. A wśród lasu kroczy łoś i zapada w bagnisko. Zanim widać dwa inne, w głębi. Wszystko to jest namalowane ze skończoną wirtuozyą. Dr. K. M. Górski, doskonały znawca sztuki, mówiąc o tych obrazach, świetnie scharakteryzował talent Fałata. (Przegląd Polski, 1894 r. sierpień). Fałat — według niego — jest nietylko znakomitym rysowni m, ale i malarzem z Bożej łaski. Wie on doskonale, jak plamę na płótno nałożyć, aby wywołała złudzenie. Artysta bawi się techniką, popisuje wprawą, a mimo to daje wrażenie natury. To określenie jest i zdaniem naszem bardzo trafnem. Czasami zdawaćby się mogło, że dla Fałata biegłość, technika stała się zwolna nie środkiem, lecz celem, ale tej obawie zadają kłam akwarele. N. p. „Sad tyrolski“ oddecha żarem letnich południ; „Nagonki“ są rzeczą mistrzowską, malowaną jakby pod hasłem „sztuka dla sztuki“, „Wyjazd na polowanie“ jest probierzem zdolności obserwacyjnych Fałata. Tu już nie chodzi o technikę, ale o układ artystyczny, a ten układ jest skończenie świetnym, skończenie porządnym. Pozornie zdaje się, że na płótnie widnieją tylko plamy, ależ w tych plamach ileż prawdy, ileż życia i jak sharmonizowany koloryt. A jednak kończąc te ogólne uwagi pragnęlibyśmy dla wiadomości czytelników dodać, że malarz tak pierwszorzędny, jak Fałat, był czem innem z zawodu, zanim się jął pędzla. Zakrawa to na ironię — jednak jest prawdą rzetelną. Fałat był z początku wielkiem prozaikiem, — bo technikiem... Studje techniczne rozpoczął w Monachium, następnie pracował przy kolei w Szwajcarji. W 1879 r. zwrócił się na drogę artystyczną, zapisawszy się do szkoły prof. J. Raaba w niemieckich Atenach“. Jako uczeń dobił się srebrnego i bronzowego medalu, a po ukończeniu szkoły wybrał się do Włoch. To małe zboczenie było koniecznem przy zaznaczeniu kierunku artystycznego Fałata, aby łaskawy czytelnik wiedział, że ten kierunek wyjągł się z kolejarza...

(Ciąg dalszy nastąpi.) *E. Ł.*

KORESPONDENCYE.

Brody dnia 16. maja.

[Dzierżawy polowań].

Jeżeli szanowna redakcya zechce łaskawie przyjąć między fałdy nowej sukienki *Łowca* jeszcze jeden szary rąbek w formie krótkiej korespondencyi, to będę bardzo wdzięczny, tembardziej, iż widzę się zmuszony przedstawić prawdę w całej nagości bez żadnej szaty nieokreślonego koloru. Jestem bowiem zdania, że szata, chociażby najściślej przykrojona, zaciera poniekąd naturalne kształty, podczas gdy nagość bezsprzecznie je uwydatnia.

W kronice *Łowca*, w 4. numerze, znajduje się pod tytułem „Zapytanie“, notatka, w której ogólnikowo podniesiony zarzut bezpłatnego wydzierżawiania prawa polowania przez żydowskich właścicieli dóbr ziemskich rozmaitym urzędnikom władz politycznych i skarbowych dotyka bardzo boleśnie wszystkich urzędników wspomnianych dykasteryj wogóle, a w szczególności tych, którzy mieli szczęście wstąpić w szeregi czcicieli św. Huberta.

Ponieważ i ja do kategoryi urzędników i wyznawców św. Huberta zaliczać się mam zaszczyt, przeto, skoro sza-

nowna redakcya pozwoli, ośmielę się, jako bezpośrednio interesowany, a ponadto, jako ten, który w polowaniach urządzanych przez urzędników kilkakrotnie udział brać miał sposobność, zabrać głos po to, aby sprawę postawić odrazu w takiem świetle, w jakiem ona rzeczywiście stoi. W tym względzie mogę szanownej redakcyi podać bliższe dane o tyle, o ile przyczyny nieprawidłowej gospodarki łowieckiej w dobrach właścicieli dóbr ziemskich mojżeszowego wyznania, zbadać byłem w możności:

Oto rzecz ma się tak:

Że urzędnicy państwowi różnych dykasteryj, tudzież funkcyonaryusze autonomiczni w niektórych powiatach Galicyi dzierżawią prawo polowania na gruntach żydowskich właścicieli większej posiadłości, to prawda! Jednak, ażeby dzierżawa przychodziła do skutku b e z p ł a t n i e, o tem wątpię z tej prostej przyczyny, że tego rodzaju dzierżawa ani razu nie dostała mi się w udziale. Ja dzierżawiłem także prawo polowania i płaciłem za nie, stosownie do kompleksu, dziesięć do piętnaście złr. rocznie, ale niestety, wychodziłem z dzierżawy zawsze z długim nosem.

Wszelakoż, tak lub owak rzecz biorąc, jestem zdania, że n a w e t, powtarzam n a w e t bezpłatna dzierżawa polowania nie może bynajmniej przyczyniać się do nieprzestrzegania przepisów ustawy łowieckiej, gdyż przekonałem się niejednokrotnie, że pomiędzy urzędnikami znajduje się wielu nietylko dobrych strzelców, ale i myśliwych w całem znaczeniu tego wyrazu t. j. kochających zwierzynę i pragnących najliczniejszego jej rozmnożenia.

Jeżeli zatem zdarzyło się może kiedyś jakieś wypadkowe naruszenie ustawy, to wypadek taki należy położyć nie na karb złego zamiaru, lecz na karb oszołomienia tak zwanych „*Sontagsjägerów*“, których nadmiar emocyi na widok zwierzyny oślepia formalnie do tego stopnia, że już nie rogacza od siuty, koguta od cieciorki i jarząbka od kury, ale nawet myśliwego na stanowisku odróżnić nie są w stanie. Znam taki wypadek z polowania w zachodniej Galicyi, gdzie jeden podobny strzelec, ale nie urzędnik, zamiast rogaczowi w komorę, wpakował trzy ziarnka śrutu w czapkę myśliwemu, stojącemu na sąsiedniem stanowisku.

Wobec tego twierdzę stanowczo, że urzędnicy nie przyprzyczyniają się niczem do rozluźnienia węzła postanowień ustawy łowieckiej i nie powodują żadną miarą nieracyonalnej gospodarki łowieckiej w lasach i na gruntach właścicieli żydów. Że złe nie przebywa wcale między urzędnikami, to pewne, ale mnie się zdaje, że ono mieszka raczej pod dachem samych właścicieli dóbr ziemskich mojżeszowego wyznania.

Są już wprawdzie w Galicyi wschodniej żydowscy właściciele dóbr ziemskich, którzy na własną rękę prowadzą gospodarkę łowiecką i na własny rachunek urządzają polowania w swoich lasach, gdzie oprócz kilku kozłów pada zwyczajnie kilkadziesiąt sztuk zajęcy, ale to są wyjątki; właściciele wyżej wspomniani są to postępowcy i należą jako myśliwi w tamtych stronach dotychczas do rzędu białych kruków. Zanim jednak reszta żydowskich właścicieli dóbr ziemskich zdecyduje się pójść za ich naśladowania godnym przykładem, upłynie, zdaniem mojem, jeszcze dużo wody, gdyż to, aby wszyscy właściciele dóbr mojżeszowego wyznania prowadzili na własną rękę racyonalną gospodarkę łowiecką, należy do nierozwiązanych jeszcze problematów przyszłości.

Takiemu niepożądanemu składowi rzeczy ostatecznie nawet dziwić się nie można, gdyż skoro właściciel dóbr ziemskich mojżeszowego wyznania jest tak zwanym typowym galicyjskim żydem, to łowiectwo, jako gałąź gospodarstwa, która w naszym kraju jeszcze wcale rentować się nie zaczęła, nie może dlań przedstawiać żadnego uroku, tembardziej z tego powodu, że i względy religijne stają temu na przeszkodzie, bo, jak wiadomo, zwierzyny w jakikolwiek sposób ubitej, a nie przez rzeźnika rytualnego zarzniętej, spożywać mu nie wolno. Nic przeto dziwnego, że dla takiego właściciela dóbr ziemskich zwierzyna i połączone z nią koszta opieki nad nią, stanowią dla jego nawy gospodarczej, którą po swojemu steruje, zanadto ciężki balast, którego, jak żeglarz podczas burzy, co rychlej pozbyć się usiłuje.

Z tego powodu pozwala polować każdemu, kogo tylko zna, a z takiego procederu powstaje następnie długa falanga nemrodów, pochodzących z różnych warstw społeczeństwa, nie wyłączając nawet straży leśnej.

Jeżeli się trafi ktoś, kto zawrze umowę co do wyłącznego prawa polowania, to umowa taka z reguły ma dla obu stron raczej iluzoryczny niż realny walor, gdyż ci, którzy poprzednio mieli pozwolenie do polowania, albo polują bez przeszkody dalej, albo też kłusownicy wykonywują praktykę na ich rachunek, tem pewniejsi, iż nic złego stać się im nie może, że właściciel dóbr z reguły od wszelkich skarg o kłusownictwo zawsze ręce umywa.

Jako dowód niech posłuży fakt następujący:

W roku 1892, pełniąc funkcye kierownika sekcyi ck. straży skarbowej na kresach wschodniej Galicyi, zadzierżawiłem za o p ł a t ą prawo polowania u jednego właściciela dóbr ziemskich mojżeszowego wyznania. W pierwszym roku urządziłem próbne polowanie i skonstatowałem, iż było 10 zajęcy, z których padło trzy. Postanowiłem zatem nie polować częściej, jak tylko raz do roku. Następnego lata w peryodzie doby polowania na przepiórki ubiłem na polach cztery albo pięć przepiórek i pocieszałem się naprzód myślą, iż za ten niedostatek odszkoduję się w kniei podczas zimowego polowania na zające. Ale cóż się okazało? Oto w drugiej połowie grudnia urządziłem polowanie i zyskałem w rezultacie cztery widziane i dwa ubite zające, przyczem dowiedziałem się od straży leśnej, że dwa dni przedtem polowali inni nemrodzi „minorum gentium“, mający z dawna pozwolenie do polowania.

Coś podobnego spotkało mnie i w tutejszej okolicy, gdyż rezultatem całorocznych zabiegów były trzy przepiórki i j e d e n jedyny z a j ą c!

Seweryn Kisielewski.

H a w ł o w i c e 14. maja.

[Proch bezdymny. — Stan zwierzyny. — Nadzieje na ptactwo błotne].

Z upragnieniem oczekiwałem pojawienia się bezdymnego prochu, gdyż strzelanie nim, osobliwie przy polowaniu na ptactwo, jest prawdziwą przyjemnością. Otrzymawszy ten proch, robiłem doświadczenia, które do wiadomości myśliwych podaję. Prochem bezdymnym nie można strzelać ze zwykłych łusek lankastrowych o małej kabsli, bo mocno przytrzymuje strzał, a nawet w łuskach z kabslą Berdana lub innych dużokabslowych przytrzymuje, chociaż mniej, co uniemożebnia trafienie. Trzeba mieć do tego specyalnie robione łuski z napisem „für Oestr.-Ungar. Rauchloses Jagdpulver“, z poczwórną masą zapalną w wielkich kabslach; wtedy strzela prawidłowo i wydaje ogień bez dymu. Lufy po strzale mały mają osad, choć mówią, że ten proch je mocno psuje. Robiłem naboje z równą ilością prochu i śrutu w jednych i tych samych łuskach, dawałem

równe przybitki do kalibru odpowiednie. Gdy strzeliłem, pierwszy strzał był tak słaby, że śrut nr. 6 na 50 kroków wbił się na pół centimetra w deskę, drugi nabój był tak silny, że od trącenia strzelby, zatoczyłem się, a śrut przeszedł całówkę na wylot, trzeci był prawidłowy, ani silny ani słaby, następne albo bardzo mocny albo słaby, z czego wynika, że mierzyć tego prochu nie można, ale ważyćby go trzeba, co daje za wiele kłopotu i zdaje się, że trzeba strzelać dymiącym prochem, zanim się wypróbuje nowy, bezdymny, który do rozrywania luf, osobliwie tych gatunków, w których $^1/_3$ naboju daje się na miarę, wielką ma predylekcyę.

Zajęcy i sarn widać u nas dosyć, a błotne polowania — zdaje mi się — będą wyśmienite, bo jeżeli błotne ptactwo potrzebuje błota, to na polach z rzepakiem, pszenicą, burakami, a nawet drogach, mamy nieprzebraną jego ilość, więc będziemy się odbijali na kszykach. *Teofil Żurowski.*

Tatarynów w maju.

[Prosię ssące krowy].

Spostrzeżenia, którem się tu dzielę z łaskawym czytelnikiem, nie zebrałem wprawdzie w wolnej naturze i na zwierzu dzikim, i ztąd więcej ono hodowcę, jak myśliwego obchodzić może, jest ono jednak ostatecznie nader ciekawym objawem zmyślności w wyszukaniu sobie egzystencji wśród nader utrudnionych warunków.

W marcu roku bieżącego jedna z moich świnek angielskich obdarzyła mnie, jak na pierwiastkę, nader licznym potomstwem; było tego sztuk 11, o jedną więcej, jak sutek posiadała matka. Następstwem tego wypadku dyskredytującego teorję teleologii natury byłoby koniecznie zmarnienie zupełne jednego z płodów, dla którego sutki odżywczej zabrakło. Na szczęście jednak w tej samej stajni utrzymuję krowy, a rodzina anglików zamieszkiwała przedział 9 m. kw. powierzchni, ograniczony pionowo ustawionymi szczeblami, pomiędzy które maleńkie prosięta przecisnąć się mogły, dostając się w ten sposób pomiędzy krowy. Chcąc zapobiedz wypadkowi, poleciłem pastuszkowi spodem zapleść szczeble drobnem pręciem, aby uniemożliwić wydostanie się prosiąt na stajnię, jednak przy tej sposobności dowiedziałem się od pastuszka, że zarządzenie takie pociągnęłoby niechybną śmierć jednego z prosiąt, które nie mając swej sutki kilka razy dziennie wydostaje się na stajnię, spaceruje pomiędzy krowy i korzysta z leżącej pozycji i wygodnego położenia wymienia, aby sobie wynagrodzić krzywdę. Wiadomość ta, wygłoszona przez chłopca w taki sposób, że nie podobna było wątpić, iż jest opartą na naocznem doświadczeniu, zapieczętowana kilkakrotnem „Bih me“, „Chreste świątyj“ itp. zaciekawiła mnie w najwyższym stopniu, i odtąd doglądałem już pilnie cały tryb życia świńskiej rodziny. Jedno z prosiąt uderzająco mniejsze, które przez to samo już niepodobna było z innemi zamienić, było zawsze na uboczu, podczas karmienia, ani na chwilę nie dopuściły go inne do zamatowanych sutek, w końcu zaś karmienia dorywało się do jednej z opuszczonych sutek, lecz trwało to tylko chwilę, bo wnet locha się zrywała, czując widocznie próżnię pokarmu. Głodne biedactwo oddawszy się na chwilę samotnej zadumie, podczas gdy inne w sybarytycznych pozach leżały lub drzemały, wymykało się zazwyczaj wkrótce przez szczeble, używając ku temu jednej i tej samej drogi, i rozpoczynał się obchód krów. Krowy stojące wcale nie zwracały jego uwagi, natomiast około leżących obiegało prosię bacznie, a gdy tylko wymię znajdowało się w takiej pozycyi, że ssanie było możliwe, cel był osiągnięty, zwłaszcza że krowy poczciwe nie okazywały niechęci w udzielaniu mu swego pokarmu, ba nawet pewnym ruchem nóg tylnych uwygodniały pozycyę.

Jedynie w ten sposób ten mały ssak pozbawiony kardynalnego warunku swej egzystencyi wywalczył sobie byt. Dziś jest pięknym warchlakiem i zajadając już z koryta, zapomniał już może o swej przybranej i wyszukanej matce. Rodzeństwo jego również wychodziło na stajnię, ale chyba tylko po to, aby poharcować, bez żadnych zgoła pretensyi do wymion krów leżących.

Podając fakt ten — na gruncie kilkunastorazowego spostrzeżenia, zaręczyć mogę, że nie wchodziła tu w grę żadna sztuka i że nikomu ani przez myśl nie przyszło przysadzić bodaj raz jeden wspomniane prosię do wymienia krowy. Samo ostatecznie podyktowało, Bóg raczy wiedzieć w jaki sposób, zbawczą myśl tej klinowatej mózgownicy — w każdym razie pokaźna próbka wysokiego stopnia akomadacyi zmyślności i odporności, w jakie uposaża natura swe twory. *Władysław Spausta.*

Kronika.

Osobny dział łowiecki będzie urządzony na wystawie rolniczo leśnej, która w roku przyszłym odbędzie się w Wiedniu ku uczczeniu jubileuszu 50-letniego panowania cesarza Franciszka Józefa.

Zwyczajne doroczne walne zgromadzenie członków Towarzystwa myśliwskiego imienia św. Huberta we Lwowie. odbędzie w myśl §. 15. statutu dnia 28. maja br. w małej sali Kasyna miejskiego o godzinie 6. wieczorem.

Program zjazdu łowieckiego podamy w następnym numerze, który wyjdzie w pierwszych dniach czerwca b. r.

Międzynarodowa wystawa psów wielkich ras. odbyła się w Lipsku w dniach od 7. do 10. maja. W dniach 5., 6. i 7. czerwca odbędzie się w lokalnościach austryackiego Tow. chowu drobiu w Wiedniu wystawa Foxterrierów. W tych samych dniach odbędzie się międzynarodowa wystawa psów w Würzburgu. Dnia 17. czerwca wystawa psów farbotropów (Schweisshunde) w Hanowerze.

Na międzynarodowej wystawie psów wszystkich ras. urządzonej w Wiedniu przez austryacki klub dla psów zbytkowych, otrzymał nagrodę p. Roman Kwoczyński za charta kurlandzkiego.

Wyborny strzelec. Książę Daniło czarnogórski, który należy bezsprzecznie do najlepszych strzelców. ubił dnia 15 lutego b. r. 65 słonek, jedną po drugiej, nie chybiwszy ani razu. Książę do małych polowań używa bardzo lekkiej lankastrówki, kaliber 12

Ochrona łosiów. W Szwecyi, rozkazem gabinetowym króla, zakazano od dnia 1. września br. na przeciąg pięciu lat polować na klępy i cielęta.

Wąglik szerzy ogromne spustoszenia wśród łosiów i renów w Szwecyi, Norwegii i w prowincyach nadbałtyckich w Rosyi. Według urzędowych dat padło na tę zarazę w Szwecyi północnej przeszło 800 renów.

Od Redakcyi.

Prenumeratę na ŁOWCA oraz zaległe wkładki upraszamy przesyłać pod adresem: Galicyjskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wszelkie reklamacje, zapytania, oraz listy do redakcyi i administracyi ŁOWCA, należy przesyłać pod adresem redakcyi i administracyi ŁOWCA we Lwowie pl. Halicki l. 14.

FABRYKA
Główny magazyn broni, Przyborów myśliwskich i łowieckich
ALFREDA
DZIKOWSKIEGO
we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1.
poleca na sezon polowań
najznakomitszą broń myśliwską własnego wyrobu
jakoteż najsłynniejszych fabryk angielskich, amerykańskich, francuskich, belgijskich, czeskich i niemieckich,
którychto jedyne zastępstwo dla Galicyi posiada, mianowicie:

Wrigtha w Birmingham
Colta w Londynie
Schmidt & Wesson w Londynie
Kanka-Kanka w Ameryce
Henrie Piepiera w Liége
A. Francottego w Liége
Rouge Fis w Liége
Collatha w Frankfurcie
Dreysego w Soemerda.

JEDYNY SKŁAD FABRYCZNY
Łusek nabojowych i Ładunków ostrych
akcyjnego Tow. w Pradze.
Sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.
Olbrzymi wybór wszelkich przyborów myśliwskich do konnej jazdy i szermierki.
C. k. sprzedaż wszystkich gatunków
Prochu strzelniczego
Śrut twardy angielski.

Własna pracownia rusznikarska, wyszczególniona na wszystkich wystawach dyplomami i medalami przez Wys. c. k. Ministerstwo handlu, przyjmuje wszelkie w zakres rusznikarstwa wchodzące roboty i wykonywa takowe z wszelką dokładnością i gruntowną znajomością — po cenach umiarkowanych.
Ilustrowane cenniki na żądanie bezpłatnie.

J. NOWOTNY
c. i k. uprz. fabrykant broni w Pradze.

W czasie sezonu kąpielowego w Karlsbadzie pierwszorzędna, z dawna jak najlepiej renomowana firma sprzedaje
Nowe drylingi
z kulową lufką do odejmowania.
Strzelby bez kurków, naciągające się automatycznie
(*Hammerless*)
lub jako strzelby z kurkami.
Najnowszy epokowy wynalazek!
Illustrowane cenniki rozsyła się gratis i franco.

Galicyjski Bank kredytowy
wydaje
4% Asygnaty kasowe
z 30-dniowem wypowiedzeniem i
3½% Asygnaty kasowe
z 8-dniowem wypowiedzeniem
wszystkie zaś znajdujące się w obiegu 4½% **Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od dnia 1. maja** 1890 r. po 4% z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.
Dyrekcya.

„NA TROPACH"
obrazki przyrodniczo-łowieckie
WŁADYSŁAWA SPAUSTY
wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie **3** złr. **20** ct, za egzemplarz.
Prenumeratorowie „Łowca"
mogą jeszcze przez Redakcyę naszego pisma lub wprost w księgarni **Gubrynowicza i Schmidta** we Lwowie, otrzymywać to dzieło po pierwotnej cenie prenumeracyjnej 2 zł. 30 ct. za egzemplarz.

Redakcya „Łowca" posiada jeszcze małe zapasy
Roczników „ŁOWCA" z lat 1893, 1894 i 1895.
Każdy rocznik zbroszurowany kosztuje złr. 3·50.
Dwa roczniki razem 6 złr. — Wszystkie trzy razem tylko 8 złr. w. a.

Treść: Jeleń. — Strzelba (pogadanka) — Na toku (wiersz). — Polowanie a kobiety. — O żubrze. — Raz o słońca wschodzie ... (wiersz). — Dzikie gołębie. — Julian Fałat (sylwetka). — Korespondencye. — Kronika. — Od redakcyi. — Ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego Redakcya „Łowca": Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.